

Hermine rozmawia z przyjaciółką z rodzinnego miasta

BYŁO POŁUDNIE, postrzępione chmurki spokojnie przepływały przez błękitne niebo w ciepły majowy dzień, sporadycznie rzucające trochę cienia na Bahnhofstrasse, w przygranicznym powiatowym miasteczku.

Poetka imieniem Hermine, używająca literackiego pseudonimu von Ossen, miała do odjazdu pociągu jeszcze ponad pięć godzin. Jej podróżna waliza była już zawieziona na dworzec przez dozorcę domu, starego Jacoba, który zawsze był na posługi ojca poetki. On jednak nie był jedynym łącznikiem z minionymi latami rodzinnego miasta. Przede wszystkim była jeszcze przyjaciółka z lat gimnazjalnych – Salcia. Przepadały za sobą, spędzały razem wiele czasu. Później pisywały do siebie regularnie, odkąd po śmierci ojca Hermine wyjechała z matką do Berlina.

Tymczasem Salcia została w małym garnizonowym mieście na granicy imperiów, gdzie jej ojciec prowadził sklep papierniczy. On też czasami myślał o przeniesieniu interesu w daleki świat, ale trzymała go tutaj chorowita żona, która być może nie zniósłaby przeprowadzki, zresztą interes szedł w miarę dobrze. Teraz był już wdowcem, starszakiem prowadzącym sklep bardziej z przyzwyczajenia niż dla zysku. Polacy częściej kupowali u Rowińskiego, Niemcy u Hoffmanna i Mieloszyńskiego. Żydowskich klientów było coraz mniej, bo i Żydów w mieście ubywało w widocznym dla każdego tempie. W okazałej synagodze zgromadzenia były nieliczne. Mówiło się w miasteczku, że niedługo miejscowej gminy nie będzie stać na utrzymanie rabina.

Salcia była jedynaczką, niewiele trzeba było na jej dostatnie życie. Tutaj wyszła za mąż za miejscowego właściciela sklepu bławatnego. Mieli trójkę dzieci: syn skończył politechnikę w Lipsku i tam już pracował, starsza córka wyszła za nauczyciela, który pracował w gimnazjum w Dreźnie. Najmłodsza była jeszcze gimnazjalistką. Mąż Salci też myślał o sprzedaży sklepu i przeniesieniu się co najmniej do Lipska. Nie mieli jednak odwagi zrobić tego ojcu Salomei. Nigdy nie wypowiedzieli tego, o czym często myśleli z wyrzutem, czy aby nie czekają na śmierć ojca, żeby się stąd wydostać. Tylko czy wtedy będą jeszcze mieli w sobie siłę do przeprowadzki? Wszak też już nie byli młodzi.

Przyjaciółki umówiły się w najładniejszej kawiarni w mieście o dumnej nazwie „Café Bellevue”, położonej w okazałej kamienicy z podcieniami, które służyły letnią porą za kawiarniany ogródek. Było stąd blisko do dworca, naprzeciwko mieściło się kasyno oficerskie, zastrzeżone dla kawalerzystów, którzy stacjonowali obok w koszarach Pierwszego Pułku Ułanów im. Cara Aleksandra I. Była też okazała kawiarnia pana Włodarkiewicza z pięknym neobarokowym frontonem, lecz znajdowała się przy trakcie wrocławskim, a poza tym chodzili do niej raczej tylko Polacy. Hermine wcale nie przeszkadzali, zdawała sobie sprawę, że i w jej żyłach – ze strony przodków matki – płynęła polska krew. Hermine znała dobrze historię Polski i czuła wiele sympatii do tego narodu, chociaż w domu mówiło się po niemiecku, i również wiersze pisała w języku Goethego. W kawiarni Włodarkiewicza czuła jednak pewne napięcie, którego przyczyn nie chciała zgłębiać, nie zamierzała też rozbudzać swojego niepokoju. Dla Hermine i jej przyjaciółki bardziej odpowiednia była „Café Bellevue”, której uroda budynku i stylowe napisy w wielkich oknach nadawały elegancji choćby w prowincjonalnym wymiarze. Nie była to wprawdzie berlińska „Romanisches Café” (przypominająca z zewnątrz nowy zamek cesarski w Poznaniu), miejsce, w którym obserwowała i poznała swoją rówieśniczkę, poetkę Else Lasker-Schüler. W „Café Bellevue” panowała sympatyczna atmosfera, wśród gazet można było znaleźć tytuły niemieckie, francuskie i polskie. Podawano tutaj dobrą kawę i pyszny sernik wiedeński.

Pociąg do Poznania odchodził o czwartej trzydzięci po południu, potem przesiadka do Berlina, który teraz był jej miastem. Tam do-

piero otworzył się przed nią świat, do którego czuła się powołana: teatry, opery, wielkie biblioteki, redakcje czasopism, kawiarnie... Wielki świat, w tym świat literatury był dla pani Hermine najważniejszy.

– Opowiadaj, co tam w wielkim świecie? Słyszałam, że utarłaś nosa wielkiemu Fontane. Pisali o tym w naszej gazecie. Miasto jest dumne z ciebie.

– Naprawdę? Nasze spokojne, ciche szare miasteczko jest z kogoś dumne? Nie wiedziałam o tym.

– Z ciebie z pewnością, obroniłaś nasz honor. Jeżeli miasto może mieć honor.

– Pan Fontane był uroczym, starszym panem, spodobała mu się moja poezja. Byłam nawet u niego w domu, wspomniiał, że może napisać wstęp do moich wierszy, ale później rozłościł mnie tym, co napisał o naszym mieście, sposobem, w jaki scharakteryzował moich ziomków w powieści *Stechlin*. Czy musiał akurat u nas umieścić gburawatych prostaków, którzy nic nie wiedzą o kulturze antycznej? Czy bohater jego powieści niemający zielonego pojęcia, czym jest Baptysterium we Florencji, kim był Michał Anioł, musiał akurat na swoje usprawiedliwienie powiedzieć – przecież jestem z Ostrowa? To było niegodziwe wobec naszego miasta, które od pół wieku szczyli się gimnazjum klasycznym. Gdzie miejscowy profesor gimnazjalny tłumaczył i wydawał Platona, Homera, Tucydydesa, Xenofonta. Jak on mógł? Co za ignorancja. A pamiętasz tomik wierszy tego księgarza Leitgebera, który mi przesłał?

– Pamiętam, ale nie czytałam tych wierszy. Nie znam przecież polskiego tak dobrze, jak ty. Zmarł kilka lat temu, miał ciągle kłopoty. Siedział nawet w twierdzy.

– Tak, był polskim patriotą – westchnęła Hermine – i jak wielu z nich żył bardzo krótko. A właśnie część jego wierszy była pisana w Italii, wśród nich ten bardzo ładny o jeziorze Como, było tam też coś o Wenecji i o Florencji. Biedny człowiek. Zdaje się, że zmarł kilka lat temu. Wyobrażasz sobie, on publikuje swój tomik z wierszami włoskimi, a prawie w tym samym czasie wielki Fontane robi z mieszkańca Ostrowa gburę, który nie wie, czym jest renesans. Byłam wściekła, stąd ten mój list. Wielki pisarz odpowiedział mi i nawet

trochę przyznał rację. Nie wiedziałam, że wieść o tym tutaj dotarła, że ktoś w naszym Ostrowo o tym się dowiedział. To chyba była Twoja sprawka. Przyznaj się.

– Trochę ironizujesz, jesteś niekonsekwentna. Bronisz naszej miejsciny w Berlinie, a gdy jesteś tutaj, dziwisz się, że wiedzą o twoich wyczynach, chociaż ja nie miałabym takiego sentymentu. Ironizuję tutaj, a jeszcze bardziej ironizowałabym, gdybym to miasto opuściła. Kiedyś mój ojciec chciał się stąd wyrwać, ale bał się o chorowitą matkę. Teraz ja boję się zostawić starego ojca. Wszyscy Żydzi stąd wyjeżdżają: do Berlina, Hamburga albo chociaż do Lipska. Pamiętasz rodzinę Krauskopfów?

– Chyba handlowali drewnem?

– Tak, to był stary Krauskopf. Jego syn jest w Ameryce! Jest kimś bardzo ważnym, założył żydowską szkołę rolniczą. Wyobrażasz sobie? Żyd chce swoich braci uczyć rolnictwa!

– Nie wiedziałam o tym. To bardzo ciekawe.

– Jest coś jeszcze ciekawszego.

– Mów, cóż to takiego.

– Podobno ten pomysł ze szkołą rolniczą sprowokowała rozmowa z samym Tolstojem, gdy pan Krauskopf był w Rosji. Teraz, będąc w Ameryce bardzo ważną osobą, zna się nawet z prezydentem.

– Salciu, skąd ty to wszystko wiesz ?

– Moja droga, to mała miejscina, wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich i każdy bardzo interesuje się bliźnim, a nas Żydów jest teraz w Ostrowo tak mało, że wiemy również wszystko o Żydach, którzy opuścili naszą pocziwą miejscinę.

– Ja nie wiem wszystkiego.

– Nie wiesz, bo mieszkasz w Berlinie, żyjesz w innym świecie. Tam chyba mieszka więcej ludzi niż w całej naszej Provinz Posen. My tutaj dusimy się w naszym małym gniazdku, w którym gdy zatrzyma się omnibus podróży, to pierwsza para koni stoi już poza rogatkami miasta.

Hermine parsknęła śmiechem.

– Salciu skąd to znasz? To chyba mimo wszystko nie o naszym miasteczku?

– Dlaczego nie?

– Trochę przesadzasz. Kiedy stąd wyjeżdżałam, było tylko kilka dużych gmachów: ratusz, gimnazjum, więzienie, koszary piechoty, poczta, ulice pełne parterowych domków z nisko opadającymi dachami. Spójrz teraz. Po drugiej stronie ulicy wielkie koszary ułanów, siedzimy w kawiarni w pięknej okazałej kamienicy. Z dworca do Rynku mijasz coraz więcej wielkich kamienic, ta z Hotelem Vier Jahreszeiten jaka nowoczesna, w pokojach nie ma już pieców, a te nowe kamienice na końcu Bahnhofstarsse, to już prawdziwy Berlin. Naprawdę. Zobaczysz, za dziesięć, piętnaście lat ulicami naszego miasteczka pojadą tramwaje. Życie teraz pędzi w niesłychanym tempie. „La Belle Époque”, tyle się teraz dzieje Salciu, w Berlinie, Paryżu, Wiedniu. Mój mąż obiecał, że latem przyszłego roku wybierzemy się do Wiednia. Świat jest coraz piękniejszy, może nawet już niedługo mężczyźni będą się z nami bardziej liczyli.

– Twój mąż się z Tobą liczy, wydał ci nawet tomik wierszy.

– To dobry, kochający mąż, jest wyrozumiały dla moich słabości. Śmieje się, że jestem jego domową „bohema”. Kiedy w Berlinie mam ochotę pójść sama do kawiarni, nie widzi w tym nic niewłaściwego. Rozumiemy się, „Die gute alte Ehepaar”. A może jesteśmy nowoczesną parą, Berlin jest bardzo nowoczesny, gdybyś wiedziała, jak bardzo...

– Jesteś szczęśliwa.

– A ty, ty nie jesteś szczęśliwa?

– Duszę się, duszę się w tej dziurze. Chciałabym bywać w teatrach, operze, na koncertach, bywać w wielkich domach towarowych, paryski szyk... – Rozmarza się Salcia, chociaż jest już bardzo dojrzałą ponadczterdziestoletnią kobietą.

– Oj, nie przesadzaj moja droga, widziałam w Rynku nowy szyld „Charlotte – mode parisienne”; gdy byłam tutaj ostatnio nie było tego sklepu. U pani Wittigowej dostaniesz najlepsze perfumy i powiem ci jeszcze w tajemnicy... – pochyliła się nad stolikiem i trochę demonstracyjnie przyłożyła dłoń do ust, kierując tajemniczo słowa do swojej przyjaciółki, chociaż bezpośrednio sąsiadujące stoliki były puste. Zajęty był jeszcze tylko jeden, po drugiej stronie podcienia. Siedziała przy nim małżeńska para z dwójką dziewcząt bardzo podobnych do siebie – zapewne bliźniaczki – w wieku pensjonarskim. Ona piła kawę,

dziewczęta zjadały się porcją lodów z owocami, a mężczyzna zanurzał swoje sumiaste wąsy w pienistym kuflu piwa. Byli zajęci rozmową, dziewczynki chichotały, miały zapewne ku temu jakiś sobie tylko znany powód. Z pewnością nie słyszeli dwóch dam prowadzących rozmowę na drugim krańcu ogródka. Mimo tego – Hermine – prawie szeptem powiedziała do swojej przyjaciółki.

– Sądzisz moja droga, że „Café des Westens” na rogu Kurfürstendamm i Joachimsthaler Straße ma lepszą kawę lub lody niż tutaj? Jest tylko w dużo większej kamienicy z okazałą wysoką salą, wielkimi kolumnami z korynckimi głowicami, ale gdy zejdą się goście, w przesyconym dymem powietrzu niewiele widać, filiżanka kawy kosztuje ledwie 25 fenigów. Nasza kawiarnia nie wygląda wcale źle, tylko kamienica jest mniejsza.

– Hermine, ale przecież nie o to chodzi. Chodzi o ludzi, którzy tam przychodzą, o rozmowy, jakie prowadzą, o atmosferę. Dopóki ty ponownie do Ostrowo nie przyjedziesz – a nie wiem, kiedy przyjedziesz – to nie wiem, kiedy będę mogła rozmawiać o literaturze, kiedy będę mogła rozmawiać z poetką! Tam czuć powiew wielkiego świata. Ja z mężem nigdy nie pojadę do Wiednia ani Paryża. – W głosie Salci był rzeczywisty smutek, a w oczach prawie rozpacz. Wiedziała, że nigdy już nie wyrwie się z tego małego światka z codziennym rytmem obowiązków, z dziećmi, które już są daleko, z zapracowanym mężem, chociaż w ich księgarni bywa coraz mniej klientów.

– A czy ty wiesz moja droga, że ten wielki świat, o którym marzysz, chwilami jest mi obcy i coraz częściej myślę, że nasze miejsce jest gdzie indziej. Tam, gdzie był nasz początek. Jestem syjonistką. Nie wiem jeszcze, gdzie poprowadzi mnie dalsza droga mojego życia. Widzisz, ja solidaryzuję się z Polakami, którzy stracili swoje państwo, zginęło wielu wspaniałych bohaterów, a kraj ten był jedynym, który udzielił gościny Żydom. Polacy muszą w końcu odbudować swój kraj. Wierzę, że kiedyś to nastąpi. My też musimy odnaleźć się u naszego źródła w Palestynie. Może tam kiedyś trafię?